

JÓZEF KISIELEWICZ

ur. 1945; Hrubieszów



Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, PRL
Słowa kluczowe	Lublin, PRL, "Sztandar Ludu", praca w redakcji, kierownik działu miejskiego

Praca na stanowisku kierownika działu miejskiego

Zacząłem robić rewolucje z tym działem miejskim, to znaczy codziennie cała ostatnia strona należała do mnie. Jak zostałem kierownikiem, była Danusia Grzelakowa, była Hryniewska, Annę Bocian to już ja przyjmowałem, było na dobrą sprawę dwóch etatowych pracowników działu, Grzelak i Hryniewska, postanowiłem, że zmienię diametralnie to. No i trafiłem na dobry rok, dobrych zmian, bo z kolei prezydentem miasta został Stanisław Bora. Stanisław Bora był takim facetem, który chciał coś w tym mieście zmienić, zrobić. Powymyślał najróżniejsze koncepcje, najważniejsza to była ta trasa W-Z. On siadł z zespołem, bardzo szybko wymyślili tę trasę, którą dopiero dzisiaj mają kończyć na Dąbrowicy. I odbyła się taka narada, na której przedstawiono te plansze, plany i tak dalej. Ja niewiele myśląc, kazałem zrobić zdjęcie i na osiem łamów walnąłem zdjęcie na tej mojej miejskiej ostatniej stronie, jak to się będzie ładnie jechało przez Lublin, No i to zaczęło się podobać, ludzie zaczęli na to inaczej patrzeć, czytać. Pomógł mi Leszek Gnot, z którym się przyjaźniłem, lubiłem się, a znałem go skądinąd i on na takich naradach dziennikarskich organizowanych chwalił, że właśnie w „Sztandarze [Ludu]” następują jakieś zmiany, chwalił stronę tę miejską. Powprowadzałem tam jakiś felieton, porobiłem zmiany winiet, zmiany tytułów, śródtytułów, w ogóle wypieprzyłem tę całą mowę-trawę, tylko to wszystko tak zeszło do życia miasta, jak to jest, a jak to może być, a jak to powinno być. Jakies takie tam akcje, płaciłem za zdjęcia pokazujące syf gdzieś tam, jakies śmieci rozrzucone, jakies pomysły mi przychodziły do głowy, takie niekonwencjonalne, których wcześniej nie było.

Był taki Józio Lis, dziennikarz, który potem w Zamościu pracował, taką minikronikę prowadził, takie malutkie felietoniki wzorowane na Himilbachu [Hamiltonie – red.], czyli na Słowajskim, który w „Kulturze” to robił. Pamiętam, przyszedł do mnie Franek Piątkowski i mówi, żebym wziął na próbę Annę Bocian, ona później pracowała w „Kamieniu”, potem w Teatrze Lalki i Aktora i tak dalej. Mówię: czego nie? No i wysłałem ją, pamiętam, był film „Love story”, mówię do niej: „Idź, dziewczyno, bo

podobnie jest jeden wielki płacz na sali filmowej w Kosmosie”, ona przyszła i walnęła taki bardzo fajny [tekst] „A jednak płaczą”, cała sala ryczy. Takie po prostu było zejście z wielkiego ach do takich przyziemnych, ale ludzi interesujących spraw. Nawet ktoś mi powiedział, że na rozpoczęcie roku szkolnego udało się dwóch towarzyszy, Karpiuk i Wójcik – Wójcik był wojewodą, a Karpiuk był pierwszym sekretarzem – i też pozwoliłem sobie w takiej felietonowej historii, bo to się łączyło z Gierkiem, że idzie nowe i tak dalej, i tak dalej, [napisać], że wśród rodziców zauważono między innymi Piotra Karpiuka i Ryszarda Wójcika, co się wcześniej w ogóle nigdy nie zdarzało, żeby tacy jak oni przyszli w charakterze [rodziców], dzieci przyprowadzili do pierwszej klasy. No i to zaczęło się podobać, ta cała historia. Śmiechu było dużo, ponieważ ja zostałem kierownikiem, potem zmieniły się jakieś zasady, nie miałem pięciu lat pracy, zostałem pełniącym obowiązki kierownika działu miejskiego, co nic nie zmieniało, pieniądze zarabiałem swoje.

Chodziłem po mieście, miasto znałem wtedy jeszcze, w tym się mieście obracałem, żyłem. Bora miał taki system budowy trasy W-Z, że dla niego nie istniały żadne obiektywne [okoliczności], że nie można. O siódmej był każdego dnia na tej budowie, sprawdzał, czy są robotnicy, czy nie ma, potem była narada, po dwóch dniach wzywał dyrektorów, opieprzał, potem kazał z dyrektorami od budowy jechać i sprawdzać, czy się robi, czy się nie robi, nie wierzył w żadne tam zapewnienia, okoliczności obiektywne, jak nie ma ludzi, no to nie ma kruszywa. To jak nie ma kruszywa, to zadzwonił gdzieś tam do Kielc, bo kogoś znał z tych młodzieżowych organizacji, a w Kielcach tam Góry Świętokrzyskie, więc przysyłali po znajomości całe pociągi kruszywa. Warunek był taki, że pociąg musi przyjść, ma być rozładowany i wracać, bo w epoce budowania Gierka brakowało przepustowości, jak to się nazywało. No, mówią, dramat, bo akuratnie [są] pociągi na stacji Lublin, co robić, bo nie ma ludzi do rozładunku. No to Bora mówi: „Jechać do akademików, ogłosić, że płacimy od ręki gotówką studentom, niech rozładują, od wagonu tyle i tyle, a resztę to niech oni się tam sami podobierają, my tylko dajemy taczki i szufle”. No i dali ogłoszenie, natychmiast zjawiała się chmura chłopaków i rozładowali w trymiga, kasę od razu [wzięli], stał facet i wyliczał, rozliczał, dzielili się tam sami i od razu poszli, kto chciał przepić, to przepił, kto chciał zachować, to zachował, czyli pociąg natychmiast był wolny. Miał takie niekonwencjonalne sposoby rządzenia. Ja często z nim jeździłem i opisywałem to, to właśnie, że z tymi studentami, z kruszywem, z łuczywem, że tam oszukują, nie pieprzyłem się wcale. Że wprowadzają w błąd, ale nie tak łatwo, bo ten gościu się nie daje, idzie, sprawdza i nikomu nie wierzy. No i ta przygoda trwała parę miesięcy, aż żałowałem, że się skończyła, bo bardzo mi się to podobało, bo, jak to się mówi, po raz pierwszy poczułem się kimś, to znaczy ta gazeta, ta miejska strona zaczęła być czytana, zauważana, komentowana. Nakład zaczynał się też pomału zwiększać. Chwalił mnie Marek Jaworski, z którym się dobrze znałem, Leszek Gnot, to byli starzy dziennikarze w stosunku do mnie.

Data i miejsce nagrania	2012-07-09, Lublin
Rozmawiał/a	Marek Nawratowicz
Redakcja	Justyna Molik
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"